

Zielona strzałka

Kilka lat temu powiedziałem w gronie znajomych, że wejście Polski do UE nie tylko nie zapewni nam dostatku materialnego, ale przede wszystkim ograniczy wolność obywateli absurdalnymi przepisami. Jako przykład podałem konieczność likwidacji prawa do warunkowej jazdy przez skrzyżowania przy czerwonym świetle - tzw. *zieloną strzałką*.

Towarzystwo spojrzało na mnie jak na wariata; co ty opowiadasz? *Bredzisz! UE da nam dużo pieniędzy, wolności, towarów, zlikwiduje bezrobocie i w ogóle będzie ekstra! Zielona strzałka UE zupełnie nie interesuje!*

Nie uwierzyli w ani jedno moje słowo. Nie chcieli wierzyć mi także dziennikarze, a wielokrotnie prosiłem ich o informowanie tzw. opinii publicznej również o niekorzystnych czy wręcz absurdalnych konsekwencjach wejścia Polski do UE. Groch o ścianę.

Kilka dni temu polskie media wreszcie przyznały, że *dzięki* UE będziemy musieli rozstać się m.in. z tak praktyczną *zieloną strzałką*.

A w państwach należących do UE dzieją się rzeczy, o których euroentuzjaści wszelkiej maści nie chcą nawet słyszeć. Mało tego; skwapliwie przed nami te informacje zatajają.

Przykłady? Cóż? Proszę bardzo! Trzy. Tylko trzy. W końcu to gazeta a nie książka, w której można by mnożyć je w nieskończoność:

UE powinna być dla nas wzorem wolnej przedsiębiorczości i wolnego rynku.

Czyżby? Pozwalam sobie twierdzić, że jest dokładnie odwrotnie. Pomimo wprowadzanych w Polsce przez lewicę (i tę komuszą i tę solidaruszą) rozlicznych koncesji, ilość dziedzin życia gospodarczego wymagających koncesji jest u nas nieporównywalnie mniejsza niż w UE.

Kilka lat temu z dużym rozbawieniem przysłuchiwałem się ogólnoaustriackiej dyskusji na temat zezwolenia właścicielom sklepów i firm usługowych na otwarcie swoich placówek w godzinach, które ich właściciele uznają za stosowne. Dotąd w Austrii obowiązywały godziny otwarcia sklepów nie wymuszone wolnym rynkiem bądź wolą ich właścicieli, ale narzucone przez urzędników. Dyskusja trwała wiele miesięcy. Zacierały się w niej dwie opcje: urzędnicza - ta uważała, że broń Boże nie wolno dopuścić do tego, aby o godzinach otwarcia sklepu decydował byle właściciel, a powinien to uczynić kompetentny urzędnik. Druga opcja nieśmiało twierdziła, że to właściciel powinien mieć jednak *pewien wpływ* na czas otwarcia swojej firmy. Debata w mediach trwała miesiącami. Wreszcie postanowiono, że w ramach eksperymentu, sklepikarzom jednej z wiedeńskich ulic można pozwolić na przedłużenie otwarcia czasu sklepów z godz. 19⁰⁰ do... 19³⁰. 30 minut wolności. Bóg zapłać za taki liberalizm.

W Polsce póki, co sklepy mamy czynne w takich godzinach, jakie się zamarzy ich właścicielom. Mało tego! Jeszcze *za komuny* przez lata prowadziłem dwie (swoją i żony) firmy usługowe, i nigdy, ale to nigdy nawet pies z kulawą nogą nie zainteresował się, w jakie dni, w jakich godzinach i czy w ogóle mamy je czynne. Najwyraźniej Polacy zdają sobie sprawę z tego, że jak mawiał Adam Smith: *smaczne, tanie bułki jemy, co rano nie, dlatego, że piekarz nas lubi, ale dlatego, że dba o własny interes*. Szkoda, że ta elementarna prawda została zapomniana (zatajona) przez urzędników UE.

Europejskie zwyczaje bankowe.

Niedawno moja przyjaciółka wpadła na dni kilka do swoich holenderskich znajomych. Była tam świadkiem dwóch, iście europejskich scen. Dwa razy jej znajomy Holender załatwiał w jej obecności swoje sprawy w banku. Dwa razy moja przyjaciółka przeżyła szok. Po raz pierwszy towarzyszyła swojemu znajomemu podczas wizyty w banku, kiedy wpłacał na swoje konto drobną (około 200\$) kwotę pieniędzy i zostawiał polecenie przelewu dla jakiejś firmy, od której coś kupił. Banał? Nic podobnego!

Holender musiał wytłumaczyć się przed urzędniczką banku SKĄD wziął pieniądze na wpłatę i musiał przedstawić rachunek od firmy, na dobro, której przelewał swoje (?) pieniądze. To jeszcze nic! Kilka dni później była świadkiem, jak to rzeczony Holender wypisał czek i pobierał swoje (?) pieniądze ze swojego (?) konta. Kasjerka zapytała NA CO chce przeznaczyć podejmowane pieniądze. I musiał się biedak (kretyn?) tłumaczyć. Rewelacja.

Póki, co kilka razy w tygodniu korzystam z usług polskich banków. Wpłacam ile chcę, wypłacam, co mam i przelewam, gdzie chcę i ile chcę bez jednego słowa wyjaśnienia, bo póki, co pieniądze na moich kontach są MOJE. Na razie. Co będzie po wejściu do UE? Na razie wolę o tym nie myśleć.

No to wszystko może i prawda, ale dzięki temu w UE panuje powszechny dobrobyt i szczęśliwość.

Tak? Tak twierdzą ludzie, którzy odwiedzali kraje UE... Z wycieczką. Ludzie, którzy nie widzieli dzielnic okalających np. hamburską St., Pauli, którzy nie widzieli położonych *daleko od szosy* wsi francuskich, którzy nie widzieli niektórych dzielnic Wiednia czy nawet Londynu, którzy nie widzieli wsi portugalskich i hiszpańskich, którzy nie widzieli realiów (nie turystycznych enklaw) południowych Włoch. Ja widziałem. Tak potwornej nędzy i ruiny w Polsce po prostu nie ma. Nigdzie. Nawet po wschodniej stronie Wisły.

Cóż, po raz tysięcznym powtarzanym truizmem (już nawet nie pamiętam czyjego autorstwa) jest stwierdzenie: ***wchodząc do Unii Europejskiej nie wchodzimy do Stanów Zjednoczonych Europy, ale do Związku Socjalistycznych Republik Europejskich.***

Mariusz Winiak